Dwumiesięcznik Sympatyków Giebułtowa

Gazeta Giebułtowska

numer 16 - październik/listopad 2014 - ISSN 2299-1824 - O zł

Występ oddziału zerowego naszej Szkoły Podstawowej w ramach akcji „Podaj łapę” zorganizowanej w celu pomocy opuszczonym zwierzętom przebywającym w schroniskach

WEWNĄTRZ NUMERU
między innymi:

PASOWANIE PIERWSZAKÓW
z cyklu „Wydarzenia”

CAMINO de SANTIAGO
- droga św. Jakuba, czyli Nasza Droga

WSPOMNIENIA (4)
ostatnia część pamiętnika byłego mieszkańca

PODAJ ŁAPĘ CZŁOWIEKU
z cyklu „Swoje chwalimy”

śp LEOKADIA GÓRAK
z cyklu „Zwykli-niezwykli giebułtowianie”

... i wiele innych

OD REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy

Przed wami 16. numer Gazety Giebułtowskiej, który ukazał się z kilkudniowym opóźnieniem spowodowanym wyborami samorządowymi. Za opóźnienie serdecznie przepraszamy mając jednocześnie nadzieję, że zrekompensujemy to Czytelnikom interesującymi tekstami, które dla Was przygotowaliśmy.

W ostatnim okresie działo się sporo, więc wewnątrz numeru znajdziecie kilka relacji z przedsięwzięć i akcji, które odbyły się w naszej miejscowości, dobiegnie końca opowieść o giebułtowskich losach Heinza Günthera, przeczytacie też o zakończonej jesiennej rundzie piłkarskich Sudetów. To tylko zachęta, bo zawarliśmy również wiele innych artykułów.

Korzystając z okazji zapraszamy Czytelników na wystawę „***Giebułtów na starej pocztówce***", która odbędzie się już 6 grudnia w Szkole Podstawowej. Podczas wystawy będzie prowadzona publiczna zbiórka pieniężna na rzecz giebułtowskiej podstawówki. Dla każdego odwiedzającego wystawę przygotowano małą niespodziankę.

Kolejny numer GG ukaże się za dwa miesiące, więc już dziś redakcja składa życzenia z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego 2015 Roku.

Życzymy miłej lektury!

Wybory 2014 w Giebułtowie

16 listopada 2014 wybraliśmy naszych przedstawicieli do lokalnych samorządów. Trzech mieszkańców Giebułtowa będzie reprezentować nas na forum rad gminy i powiatu.

Mandaty radnych Rady Miejskiej Gminy Mirsk uzyskali: Antoni Alchimowicz i Zdzisław Grotnik.

W Radzie Powiatu Lwóweckiego zasiądzie Piotr Czembrowski - redaktor naszego giebułtowskiego dwumiesięcznika.

Druk 16. numeru sfinansowano z budżetu Gminy Mirsk w ramach funduszu sołeckiego Sołectwa Giebułtów oraz w części przez giebułtowskich radnych Antoniego Alchimowicza i Piotra Czembrowskiego

Wszystkie numery są dostępne w wersji elektronicznej na naszej stronie internetowej.

Pożyteczna lekcja

W ramach zajęć z podstaw przedsiębiorczości uczniowie pierwszej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Mirsku zobowiązani są zrealizować projekt, polegający na wykonaniu prac społeczno-użytkowych. Możliwości jest wiele, chodzi o to, by przysłużyć się szerszej społeczności. Cztery uczennice zdecydowały się na działalność pro-ekologiczną. W tym celu udały się na giebułtowskie skałki, żeby je posprzątać i przywrócić piękno temu miejscu. Słupiec zlokalizowany w górnej części Augustowa to doskonały punkt widokowy i jest chętnie odwiedzany przez tutejszą ludność, a także turystów. Niestety niektórzy nie doceniają uroku tego miejsca i zaśmiecają je. Teraz za sprawą Pameli Krawczyk i Sandry Lejman z Giebułtowa oraz Natalii Ryby i Kariny Gładzik z Mirska skałki są czyste. Zostawiono także worki, do których można wyrzucać śmieci. Apelujemy więc o korzystanie z nich i utrzymanie obiektu w obecnym stanie.

Nauczycielem przedmiotu podstawy przedsiębiorczości jest prof. Grażyna Drożdżowska.

Natalia Ryba

Dwumiesięcznik Sympatyków Giebułtowa
Gazeta Giebułtowska

Redaktor naczelny: Danuta Alchimowicz (daal)
Redaktorzy:
Piotr Czembrowski (pecet),
Dawid Karoń
Skład, grafika: Piotr Czembrowski
Wydawca: D. Alchimowicz, Giebułtów 51, 59-630 Mirsk
Druk: w nakładzie 200 egz. - Wydawnictwo Poligrafia „Ad Rem", Jelenia Góra, Okrzei 12
E-mail: gazeta.giebultowska@gmail.com
www: giebultow.com.pl

Wspomnienia (4)

Rosjan zastąpili Polacy. W każdym domu, w którym zamieszkali Polacy, musiała zawisnąć polska flaga. Z braku czerwonego materiału szyte były one częściowo z wsypów z poduszek, wszyscy zaś niemieccy mieszkańcy, łącznie z dziećmi, musieli nosić białe opaski z niebieskim paskiem pośrodku. Wielu Niemców było zabieranych na przesłuchania, chciano przede wszystkim dowiedzieć się, kto był „w partii". Polacy nie mogli tego zrozumieć, że byli w niej wszyscy, czy prawie wszyscy, bo inaczej było po prostu niemożliwe. Wielu, zbyt wielu Polaków doświadczyło na wojnie od Niemców strasznych rzeczy, trudno było dziwić się więc ich nienawiści, tylko że odwet dotknął, tak jak to często w życiu bywa, tych, którzy najmniej mieli z tym wspólnego. Pewnego dnia padła komenda, że mamy spakować swoje rzeczy i iść pod sklep, mieliśmy wyjeżdżać. Ponieważ nie wszystkich to dotyczyło, powstało wśród ludzi wielkie zamieszanie. My byliśmy wśród tych, którzy musieli opuścić swój dom, mieliśmy dotrzeć pieszo do wsi, która nazywała się „Scheibe" (czyt. Szajba). Zakwaterowano nas w pustych budynkach, z których mieszkańcy już zostali wypędzeni. Następnego dnia mogliśmy jednak wrócić do domu, tylko że w pokoju obok drzwi wejściowych przywiązany był głodny buldog, który strasznie ostrzył na nas zęby. Musieliśmy znaleźć kogoś, kto miał odwagę go odwiązać i wypuścić. Po jakimś czasie Polak, który u nas mieszkał, wyjechał, a wprowadziło się małżeństwo. Któregoś dnia wczesnym rankiem podjechał samochód ciężarowy, siedzieliśmy cicho w pokoju, tymczasem rumor dobiegający do naszych uszu oznaczał po prostu pakowanie naszego dobytku. Po trzech dniach policja przyjechała szukać tych ludzi, którzy zniknęli bez śladu. Następnie zamieszkał u nas młody chłopak, Polak, miły, na babcinym kaflowym piecu słuchał muzyki, miał na uszach słuchawki, z których dobiegała muzyka, też ją słyszałem, jak siadałem na ławie przy piecu. Babcia była podejrzliwa i mówiła, że on ma chyba podsłuch, dlatego mówiliśmy po cichu, nie mieliśmy pojęcia o takiej technice. Czym się wtedy ludzie żywili, jest dla mnie do dziś zagadką, nic właściwie nie funkcjonowało. Rolnicy przecież od zimy nie uprawiali pól, bojąc się nalotów bombowych. Były jednak ziemniaki, twaróg, syrop z buraków cukrowych, trochę mleka i od święta masło. Nikt nie narzekał na nadwagę. Nie pamiętam za to w ogóle, czy wtedy chodziliśmy do szkoły. Pewnego lipcowego dnia 1946 r. przyszła powtórna wiadomość o przymusowym opuszczeniu domu. Znów zbiórkę ogłoszono przy sklepie, ale tak samo jak poprzednim razem, ten rozkaz nie dotyczył wszystkich. Ponowne zamieszanie, jedni informacje dostali, inni nie, wielu płakało. Wykopałem w ogrodzie stokrotkę szlachetną, która się sama nasiała, posadziłem ją do doniczki, bardzo ją lubiłem i chciałem koniecznie zabrać. Mama mnie przekonała, że kwiatek ucierpi na tym, więc ją przynajmniej porządnie podlałem. Obroniłem za to metalową puszkę, w której miałem różne cenne drobiazgi, należące też mojego brata, który miał już 5,5 roku. Ponieważ było nam ciężko wszystko to nieść, niektóre rzeczy podwójnie ubieraliśmy na siebie, a było przecież lato. Od czasu tej pierwszej „wycieczki" mama miała już wszystko spakowane: dokumenty, zdjęcia, paszporty. Każdy miał plecak i jedną torbę. Wtedy wydarzyła się ta historia z panem Droht. Nie chciał opuścić swego domu, strzelał do Polaków z broni pneumatycznej, za to został w swoim domu przez nich zamknięty, a dom podpalony, widzieliśmy kłęby dymu. Koło sklepu wyczytano nasze nazwiska, stąd ruszyliśmy pieszo do Mirska, a tam wsiadający do pociągu towarowego ludzie teraz dopiero zrozumieli, że sprawa wygląda poważnie. Płacz, rozpacz,

Bracia Werner i Heinz przed dawnym domem rodzinnym w Giebułtowie, sierpień 2014r.

żal za domem, za pozostawionym bydłem, za dobytkiem. Słychać było modlitwy... Pociąg ruszył, jechaliśmy przez Gryfów do Lubania, byliśmy przerażeni tym, co ujrzeliśmy. Lubań był naszym miastem powiatowym, byłem kiedyś tam u dentysty, czasem jeździło się na zakupy, teraz był nie do poznania: ruiny, czołgi, działa. Następnie było Görlitz, też ogromne zniszczenia. Gdy pociąg przejeżdżał przez Nysę, widzieliśmy pływające w rzece tysiące niebiesko-białych opasek, my też je zrzuciliśmy. Byliśmy w niemieckich landach, ale ciągle w radzieckiej strefie okupacyjnej. W Görlitz zostaliśmy odwszawieni w specjalnych kabinach, tę procedurę powtórzono jeszcze kilka razy. W wagonach towarowych nie było toalety, siedzieliśmy razem z bagażem, czasem podawano herbatę czy kawę. Pierwsze duże miasto, do którego dojechaliśmy to było Drezno. Widok zniszczeń był przerażający. Mieliśmy tu dłuższy postój. Następnie zatrzymaliśmy się w miejscowości Uelzen na terenie fabryki cukrowej, gdzie udostępniono nam duże namioty. Otrzymaliśmy tutaj po raz pierwszy posiłek, miedzy innymi połowę konserwy śledziowej (Bismarck-Hering), to było prawdziwe święto, dodatkowo prowiant wojskowy: ciasteczka słone, tabletki węglowodanowe, czekoladę i gumę do żucia, rzeczy, których nie znaliśmy, a czekolady nie jedliśmy wiele lat. Następnego dnia wyjechaliśmy do Siegen, tam umieszczono nas w koszarach. Tu usłyszeliśmy dzieci mówiące dialektem tego regionu, Niemców, których kompletnie nie rozumieliśmy, było to dla nas nowe doświadczenie, myśleliśmy że jesteśmy w innym kraju. Następnie dojechaliśmy do Alteny w Sauerlandzie. Tam porozdzielano nas do różnych miejscowości. My zostaliśmy skierowani do Lüdenscheid, tam umieszczono nas w domu gminnym, dawnej szkole, z pomocą policji, nie chciano bowiem dobrowolnie przyjąć uchodźców, za jakich byliśmy uważani. Fakt, że po ponad tygodniu podróży bez mycia nie wyglądaliśmy zachęcająco. Kawałek kołdry dla rodziny, wyznaczający jej terytorium w 30-osobowym pomieszczeniu- klasie, żałosne jedzenie, brudna woda, kuchnia bez garnków i sztućców-początek naszego nowego życia. Pewnego dnia otrzymaliśmy informację, że mam iść do szkoły. Mama uszyła mi z kawałka lnu worek, na którym wyszyłem ściegiem krzyżykowym czerwoną nitką inicjały H.G. Tak zaczęło się nasze życie w brytyjskiej strefie okupacyjnej.

Zaprezentowaliśmy Czytelnikom ostatni fragment wspomnień przedwojennego mieszkańca Giebułtowa Heinza Günthera, świadka historii sprzed 68 lat. Z powodu braku miejsca w naszej niewielkiej gazecie musieliśmy je znacznie skrócić, a z opisu dotyczącego pierwszych powojennych lat w ogóle zrezygnować. Mamy nadzieję, że była to ciekawa lektura, a wynikające z niej jednoznaczne przesłanie „NIGDY WIĘCEJ WOJNY!" nabrało jeszcze większej mocy.

Z języka niemieckiego tłumaczyła Danuta Alchimowicz

Leokadia Górak we wspomnieniach

„Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą” (ks. J. Twardowski)

Każdy, kto znał panią Leokadię, wiedział, że ma do czynienia z osobą niezwykłą pod każdym względem. Niezwykłe było Jej poczucie humoru, spokój, opanowanie, ale także pewien rodzaj niepokory, filuterii, zawadiactwa, niespożyta energia oraz hart ducha. Niezwykła była Jej uroda, odwaga i inteligencja, dzięki której umiała rozwiązywać problemy i pokonywać trudności. A tych Pan Bóg Jej nie szczędził. Wiedział po prostu, że kto jak kto, ale „Jola” sobie poradzi. I się nie pomylił. Odłączywszy się w wyniku wojennej zawieruchy na Kresach od swoich rodziców, ocalona i wychowana przez starsze siostry, sprawiała wrażenie osoby wyedukowanej na królewskim dworze, w najlepszych szkołach. Mając kilkanaście lat została po wojnie odnaleziona przez mieszkającą na dzisiejszej Ukrainie matkę. Zmuszona do wczesnej samodzielności, radziła sobie już nieźle na „zachodzie”, zrezygnowała więc z powrotu w rodzinne strony, których jeszcze nawet nie zdążyła poznać. Najpierw w okolicach Wrocławia, później w Świeradowie i wreszcie w Giebułtowie rozpoczęła swoje dorosłe, także zawodowe życie. Dojeżdżając do Giebułtowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego ze Świeradowa-Zdroju, kupując z koleżanką chleb w mirskiej piekarni, poznała miłość swego życia, Jana. Młody piekarz stracił panowanie nad deską ze świeżo upieczonymi bochenkami chleba, gdy Ją ujrzał, i jeden z nich wpadł prosto w Jej ręce. Dane im było tylko kilkanaście wspólnych lat, podczas których nie brakowało też trudnych chwil. Jan zmarł nagle w wyniku powikłań pogrypowych tuż przed swymi 40-tymi urodzinami. Wcześniej pochowali trzech synków przedwcześnie urodzonych, którym ówczesna medycyna nie dawała szans. Wspólnie doczekali trzech córek, bo czwarta urodziła się w 4 dni po śmierci ojca. Mieszkając na Woli, została z czwórką dzieci i 4-hektarowym gospodarstwem. Dziś nie do pomyślenia, tym bardziej że jedna z córek 7-letnia Basia wymagała rehabilitacji z uwagi na niepełnosprawność. I tylko raz poprosiła opiekę społeczną o pomoc, gdy kształcenie dzieci i wydatki na leczenie przerosły Jej możliwości. „To był pierwszy i ostatni raz” –powiedziała wtedy. Kobieta o takim wyglądzie, postawie damy i wrodzonej pewności siebie nie mogła wzbudzać litości, a co najwyżej zazdrość... Pokonując własne problemy zdrowotne, towarzyszyła dorastającym i dorosłym dzieciom i wnukom w ich życiu, kibicowała córce Basi, niepełnosprawnej sportsmence, w kolejnych zawodach i mistrzostwach, ciesząc się jej sukcesami. Mieszkając w Mirsku pamiętała o swoich przyjaciołach z Giebułtowa, nieraz towarzysząc im w wyjazdach do Częstochowy, na Jasną Górę, będąc ich przewodnikiem i opiekunem. W międzyczasie wyczytała księgozbiory z okolicznych bibliotek. Kobieta dzielna i niezłomna. Przeszła przez Życie z uśmiechem na ustach. I z podniesioną głową. Taką Ją zapamiętamy.

39-letnia pani Leokadia na wycieczce rodzinnej w Szklarskiej Porębie (1981r.)

Danuta Alchimowicz, przyjaciel rodziny

Moja babcia, Leokadia Górak (wszyscy mówili na nią Jola), urodziła się 20 lipca 1942 roku, a zmarła 22 października 2014 roku. Była wieloletnią mieszkanką Giebułtowa, w którym spędziłam wiele radosnych chwil mojego dzieciństwa, właśnie u Babci. Chodziłyśmy razem nad rzekę, gdzie niestrudzenie i z wielką cierpliwością uczyła mnie pływać. Razem wyszywałyśmy, grałyśmy w karty, czytałyśmy, spacerowałyśmy... Zapalała we mnie zamiłowanie do książek, zbierania grzybów i jagód, spacerowania po lasach, które tak bardzo kochała.

Zawsze miała jakiś sposób, lekarstwo na wszelkie przeziębienia czy choroby; zaparzała ziółka, robiła syropy, po których bardzo szybko człowiek stawał na nogi. Razem z rodzeństwem i kuzynostwem chętnie do niej przyjeżdżaliśmy, by (między innymi)... zajrzeć do piwnicy, w której było tak wiele smakołyków: lodów własnej roboty, dżemów, ogórków, wszelkiej maści owoców w syropie etc. Miała wielkie doświadczenie związane z pracą, gdyż już w wieku kilkunastu lat zaczęła pracować i bardzo dobrze wiedziała, jak ciężko jest w życiu, ale mimo tego nigdy się nie poddawała. Mimo tak wielu trudności potrafiła sobie radzić i uśmiechać się, co było jej znakiem rozpoznawczym.

Historie, które opowiadała, nie zawsze miały charakter moralizatorski, były również takie, co rozśmieszały do łez. Często robiła jakieś psikusy czy kawały. Jeden z wielu padł na mnie, a mianowicie pewnego jesiennego wieczora, gdy to przy herbatce, pod kocykiem najlepiej się rozmawia, babcia zdradziła mi „rodzinną tajemnicę"- że w moich żyłach płynie błękitna krew. Bardzo aktorsko streściła swoje królewskie pochodzenie... Ja, jako kilkuletnia dziewczynka nie pomyślałam, że to wszystko to jeden wielki żart. Jest to jeden z tych momentów, gdy myśląc oczymś, od razu na twarzy pojawia się wielki, szczery uśmiech.

Zapamiętam (i pamiętam) Babcię, jako bardzo dobrą kobietę, z wielkim dystansem do siebie i świata, z niesamowitym poczuciem humoru, która nawet w tak dołujących dla niektórych miejscach, jak szpital, potrafiła śmiać się ze zwykłego wenflonu wkłutego w dłoń.

W otoczeniu córek: Basi, Krysi, Ewy i Danusi

Autorka wspomnienia - Marta Borkowska, wnuczka pani Leokadii

Z zamiłowania do książek i przyrody. Z opiekuńczości i tej przeogromnej miłości, którą dzieliła się z każdym z nas. Będzie dla mnie zawsze autorytetem, gdyż niedużo jest tak wiernych i oddanych osób - nie tylko ludziom, ale przede wszystkim Panu Bogu, jak właśnie moja Babcia. Najpiękniejsze jednak jest to, że po prostu była... jest moją Babcią.

Marta Borkowska
(uczennica kl. IIb LO w Mirsku)

„Jola" była uczynnym, dobrym i ciepłym człowiekiem. Znałam Ją od 1969r. Byłam przy Niej, gdy zmarł Jej mąż Jan, a także przy narodzinach córki Dany w domu, w drugi dzień po pogrzebie męża. Razem z Jej i moimi dziećmi spędzałyśmy święta, Sylwestry, wakacje i uroczystości rodzinne, pomagając sobie wzajemnie. Na zawsze pozostanie w mojej pamięci i w pamięci moich dzieci.

Sąsiadka Halina Kolanko

Camino de Santiago - droga św. Jakuba, czyli Nasza Droga (1)

Pieszą pielgrzymkę do grobu św. Jakuba Większego-Apostoła można zacząć od progu swego domu, niezależnie od miejsca zamieszkania. W naszej okolicy przez Gryfów – Biedrzychowice w kierunku Lubania – Zgorzelca, a później przez Niemcy – Francję – do Santiago de Compostela w Hiszpanii przebiega tzw. szlak królewski (Via Regia). Szlak, którym pielgrzymowano od ponad tysiąca lat, jeden z najważniejszych szlaków dla chrześcijan, podobnie jak szlaki do Rzymu czy Ziemi Świętej. Szlak od kilkunastu lat na nowo znakowany, bo w tej części Europy żyjącej prawie pół wieku za „żelazną kurtyną" był zapomniany i nieznany.

Po jednej z pielgrzymek na Jasną Górę powstała myśl, żeby pójść szlakiem jakubowym. Moja córka Iga od razu podchwyciła ten pomysł. Wybraliśmy tzw. szlak francuski, wynoszący ok. 780 km. Zakupiony przewodnik dzielił tę trasę na 30 etapów, średnio mieliśmy do przejścia około 25 km dziennie. Planowaliśmy też dojechać później na „koniec świata", czyli na przylądek Finisterre, ostatni punkt szlaku św. Jakuba, gdzie pielgrzymi w średniowieczu po dotarciu nad Ocean palili ubrania, w których przyszli, i gdzie otrzymywali nowe odzienie. Symbolizowało to przeobrażenie się w nowego człowieka.

Jedziemy autobusem do Warszawy, stamtąd samolotem do Paryża, a dalej szybkimi kolejami TGV z przesiadkami w Bordeaux i Bayonne do Saint-Jean-Pied-de-Port, gdzie zaczyna się „droga francuska". W trakcie przygotowań dowiaduję się od jednego z moich kolegów z Sobótki, że jego zięć Kuba od lat przemierza szlaki jakubowe, zajmując się ostatnio także budową polskiego schroniska w Hiszpanii. Kuba Pigóra i prowadzona przez niego strona internetowa „mypielgrzymi.com" stają się dla nas odtąd ważnym źródłem informacji.

Z domu wyjeżdżamy 26 sierpnia br. Z Saint-Jean-Pied-de-Port po francuskiej stronie Pirenejów

Przy jednym z pomników pielgrzyma

Po 1. dniu i przekroczeniu granicy franusko-hiszpańskiej mamy o 25 km mniej niż kierowcy

wyruszamy w drogę w czwartek 28 sierpnia wczesnym świtem. Pireneje musimy pokonać w jeden dzień, nie ma tam możliwości noclegu. W naszych *Credencjałach* otrzymujemy pierwszą pieczątkę. *Credencjal* to paszport pielgrzyma, który uprawnia do noclegów w schroniskach dla pielgrzymów, i w którym na trasie zbiera się pieczątki potwierdzające przebycie kolejnego odcinka drogi. Pogoda nam sprzyja, gdyż słońce na zmianę z chmurami i ożywczy wiatr pozwalają pokonywać kolejne podejścia. Mój plecak waży 12 kg, Igi 8 kg. Trudny jest także dzień kolejny, bo to etap 42-kilometrowy. Następny też niełatwy, emocje i trud powodują, że sobotę bierzemy za niedzielę, dopiero telefon do domu wyprowadza nas z błędu. Nie są to najwyższe góry na naszej drodze, która dalej wiedzie przez górzystą Nawarrę i jej stolicę Pampelunę, Kraj Basków, La Rioja, gdzie znaczna część szlaku prowadzi przez winnice, Kastylię León z dużymi miastami Burgos i León oraz przez Mesetę, płaskowyż z prostą jak nić niekończącą się drogą, w upale, bez cienia i bez możliwości uzupełnienia wody, i na końcu przez Galicję, gdzie statystycznie 300 dni w roku pada deszcz.

Widok na Castrojeriz, stąd do celu 449 km

Galicja i ostatnie 130 km

Szlak francuski w Hiszpanii jest dobrze oznaczony. Jak zawsze symbolem jest muszla, którą można spotkać umieszczoną na słupkach, murach, domach, a w większych miastach także na chodnikach. Żółte strzałki są także na słupach latarni, na krawężnikach, na kamieniach, bądź na asfalcie. Trudno jest się zgubić, ale czasami wystarczy chwila nieuwagi, złe warunki widoczności spowodowane opadami, albo wyjście ze schroniska przed świtem, kiedy oznaczenia szlaku trzeba szukać z pomocą latarki, i pomyłka gotowa - idzie się w złym kierunku. Trzeba być też bardzo ostrożnym, ponieważ jeden nierozważny krok na stromych, kamienistych zejściach, zwłaszcza, kiedy jest mokro, może zakończyć się upadkiem i kontuzją, która uniemożliwi dalszą pielgrzymkę. Na szlaku spotykamy wiele krzyży, często z tabliczkami z imieniem i nazwiskiem pielgrzyma, który w tym miejscu zakończył swoją ziemską wędrówkę, nie docierając do Santiago de Compostela, niektóre z nich z ostatnich lat. Czy nam będzie dane zrealizowanie naszego celu? Bo tak naprawdę niewiele od nas zależy.

Czasami na szlaku natrafiamy na pozostawione prawie nowe markowe buty, które okazały się niezdatne do chodzenia, a do niesienia też za ciężkie. Spotykamy też stosy ułożone z kamieni, a pod nimi na kartkach intencje w różnych językach. Po około 20 dniach dochodzimy do najwyższego na szlaku szczytu, 1530 m n.p.m., na którym na 30-metrowym słupie jest żelazny krzyż (Cruz de Ferro). W tym miejscu pielgrzymi zostawiają kamienie, które zabrali spod domu, wyruszając na pielgrzymkę. Kamienie te symbolizują grzechy, a także intencje, które ze sobą przez te dni nieśli, a które teraz chcą złożyć pod krzyżem, chcą je ofiarować. Składamy pod nim też i nasze, giebułtowskie, kamyki. Nasze plastry i inne środki opatrunkowe oddajemy potrzebującym pielgrzymom. Aby iść dalej wystarczają nam na szczęście codzienne masaże nóg i odpoczynek. Albergi, czyli schroniska, w których nocujemy, są różne, małe i duże, lepiej lub gorzej wyposażone, z kuchnią lub bez. Gotujemy sami, kilka razy naszych dań próbują inni pielgrzymi. Zapach duszonego czosnku z warzywami nie pozwala niektórym dotrwać do otwarcia baru i przyjmują nasze zaproszenie do wspólnej kolacji. Przewodnik, z którego korzystamy, zawiera dosyć szczegółowe informacje o mijanych miejscowościach. W jednej z nich miał być sklep, ale informacja okazuje się nieaktualna. Musimy zadowolić się niesioną w plecaku torebką ryżu, główką czosnku i kilkoma kroplami oliwy. W jednej tylko miejscowości nie znajdujemy noclegu, wszystko zajęte, „completo" –jak czytamy na wszystkich drzwiach schronisk. Nocujemy na scenie, pod wiatą. Mijane miejscowości to nieraz maleńkie wsie, osady, ale też i miasta z niesamowitymi katedrami, jak te w Burgos czy w León. Mijamy stada pasących się owiec z pilnującymi je psami. Idziemy przez góry i doliny z zapierającymi dech krajobrazami, tak jak te w O'Cebeiro. Czasem jesteśmy na drodze sami, czasem idą inni pielgrzymi. Ostatnią noc przed dojściem do celu spędzamy w polskiej alberdze im. Jana Pawła II w Monte de Gozo, 5 km od Santiago, w miejscu, gdzie w 2000r. odbyły się Światowe Dni Młodzieży. To taka namiastka Polski.

Do Santiago de Compostela docieramy we wtorek 23 września, 5 dni przed planowanym terminem. Trochę dlatego, że zgubiliśmy przewodnik i nie trzymamy się proponowanego limitu kilometrów. Dlatego też że nasza kondycja nas ani razu nie zawiodła. Po prostu dlatego, że św. Jakub nas w tym właśnie dniu oczekiwał. Razem z nami do Katedry z jego grobem docierają setki pielgrzymów z całego świata. Wszyscy witają się z Apostołem- to obowiązkowy rytuał. Mamy szczęście udziału w Mszy św. po polsku o godz. 9.30 w kaplicy św. Andrzeja. Następnie ustawiamy się w długiej kolejce po Compostelle- certyfikat potwierdzający przejście szlaku św. Jakuba. Otrzymują go także ci, którzy przeszli tylko ostatnie 100 km, bo to warunek wystarczający, i ci, którzy przemierzyli szlak konno lub rowerem. Mając kilkudniowy zapas czasu, decydujemy się na dalszą pielgrzymkę, na dodatkowe 120 km. Wyruszamy pieszo na „koniec świata", a stamtąd do sanktuarium Matki Bożej z Barki w Muxii nad Oceanem Atlantyckim. To miejsce największego kultu maryjnego w Galicji. Nasze *Camino* to ponad 900 km drogi. 29 września wyruszamy w podróż powrotną do domu.

Antoni Alchimowicz

W następnych numerach zamieścimy kolejne części relacji zatytułowane: „Ludzie Camino" i „Duch Camino"

"Koniec świata", za nami Ocean, a na słupku 0,00 km

Podaj łapę człowieku!

Doroczna akcja pomocy porzuconym zwierzętom

Ada Komorek (fundacja Mondo Cane) i Iwona Krakowska, organizator akcji

Grażyna Kordyjak wręcza ufundowany tort najbardziej zaangażowanej grupie - klasie VI

3 listopada 2014 r. w Szkole Podstawowej w Giebułtowie rozpoczęła się druga edycja akcji na rzecz zwierząt znajdujących się w schroniskach i pod opieką fundacji. Tego dnia nauczyciele zorganizowali zabawę loteryjną, która zapoczątkowała wielką zbiórkę karmy.

Pierwszy tydzień akcji można określić mianem „rozruchowy", ponieważ dzieci wraz z rodzicami uzbierały niewielką ilość karmy. Po wywieszeniu pierwszego rankingu wszyscy poczuli ducha rywalizacji. Nauczyciele na godzinach wychowawczych starali się dopingować uczniów i sami ochoczo włączyli się , aby dać dobry przykład.

Całym przedsięwzięciem kierowała pani Iwona Krakowska. Dzięki niej pojawili się sponsorzy nagród dla najbardziej zaangażowanych klas, co było dla nich dodatkową zachętą. W tym roku trzy torty ufundowali: pani Grażyna Kordyjak, giebułtowskie stowarzyszenie „O nas z nami" oraz Ewa i Piotr Czembrowscy.

Finał tegorocznej akcji zaplanowano na dzień 20 listopada. Wręczenie nagród zostało poprzedzone występem dzieci z oddziału zerowego, które zaprezentowały nie tylko wesołą piosenkę, ale także przygotowane na tę okazję specjalne przebrania. Po zerówkowiczach, dwoje uczniów z klasy trzeciej Miłosz Masłowski i Julia Pawłowska zadeklamowało wiersze.

W kolejnej części spotkania w sali gimnastycznej pojawił się znany giebułtowskim uczniom pies Zorion ze swoją opiekunką pani Adą Komorek z jeleniogórskiej fundacji Mondo Cane. Zorion pokazał wszystkim, że przez rok można się wiele nauczyć, co udowodnił pokazując szereg nowych umiejętności. Sprawność i inteligencja tego pięknego psa została doceniona przez zgromadzoną publiczność gromkimi brawami.

Po części rozrywkowej nastąpił uroczysty moment symbolicznego przekazania zebranej karmy dla zwierzaków. W imieniu schroniska w Wielkim Lesie

Klasa III ze swoją nagrodą za zdobycie drugiego miejsca w akcji zbiórki karmy

Anna Jadczak (stowarzyszenie „O nas z nami") wręcza tort klasie V za zajęcie trzeciego miejsca

Pies Zorion zaprezentował wiele swoich umiejętności, również aktorskich. Został ulubieńcem całej publiczności.

Nie zabrakło też fotoreporterów.

Lubańskim prowadzonego przez Związek Gmin Kwisa wystąpił Burmistrz naszej gminy pan Andrzej Jasiński. W imieniu fundacji Mondo Cane wystąpiła wspomniana wcześniej pani Ada Komorek. Dzieci ze Szkoły Podstawowej w Giebułtowie zebrały i przekazały prawie pół tony pokarmu dla zwierząt.

Taka wspaniałomyślna postawa została dostrzeżona i również dzieci otrzymały nagrody. Tort dla klasy szóstej, która zwyciężyła w finałowym rankingu wręczyła pani Grażyna Kordyjak, tort dla klasy trzeciej, która zdobyła drugie miejsce wręczył Piotr Czembrowski, a trzecie miejsce uhonorowała pani Anna Jadczak ze stowarzyszenia „O nas z nami" wręczając tort klasie piątej. Dla pozostałych uczniów zostały przygotowane również słodkie nagrody.

Dla historii i wielbicieli statystyk podajemy ilości karmy zebranej przez poszczególne klasy:

VI - 132 kg; III - 81,25 kg; V - 62,75 kg; I - 58 kg;

II - 35 kg; O - 28,4 kg; VI - 21,5 kg

Miej serce dla zwierząt przez cały rok tak jak giebułtowskie dzieci!

(pecet)

Bezimienny giebułtowski strumień potrzebuje nazwy?

Zgłębiając ukryte w mrokach historii losy naszej miejscowości nigdzie nie natknąłem się na nazwę strumienia spływającego ze zbocza Wojkowej wzdłuż Giebułtowa, który swój kilkukilometrowy bieg kończy wpadając do Łużycy w miejscu, gdzie Giebułtów graniczy z Mirskiem. Również świetnie opracowany Słownik Geografii Turystycznej Sudetów tom II pod redakcją Marka Staffy podaje fakt, że ten strumień był bezimienny. Na wszystkich dostępnych mi mapach starych i współczesnych nie pojawia się żadna nazwa naszego potoku.

Proszę się nie dziwić mojemu oburzeniu, gdy otwierając pewnego dnia mapę serwisu Google, ujrzałem nową, zaproponowaną przez jakiegoś złośliwego dowcipnisia i niestety zaakceptowaną przez ww. serwis nazwę. Nie przytoczę tu tej nazwy, bo była obraźliwa i odstraszająca potencjalnego gościa naszego Giebułtowa.

Nadmienię, że ustalaniem nazw miejscowości i obiektów fizjograficznych w Polsce zajmuje się specjalnie powołana Komisja działająca przy Ministrze Spraw Wewnętrznych i Administracji, w skład której wchodzą przedstawiciele nauki, językoznawcy, historycy, geografowie oraz pracownicy wybranych urzędów centralnych instytucji statystycznych, geodezyjnych i kartograficznych.

W wyniku podjętej przeze mnie interwencji obraźliwa nazwa została usunięta!

Wspomniana komisja corocznie rozpatruje i opiniuje wnioski władz samorządowych w sprawie ustalania, zmiany bądź znoszenia urzędowych nazw miejscowości i obiektów fizjograficznych takich jak nasz giebułtowski strumień, więc być może należałoby rozważyć nadanie mu odpowiedniej nazwy. Nazwa mogłaby nawiązywać do historii naszej miejscowości albo do jej walorów turystycznych. Jeżeli spodoba się Wam taki pomysł, to redakcja zastanowi się nad sposobem wyboru **imienia strumienia**.

(pecet)

„To nasza szkoła - - tu możesz się dowiedzieć ...”

Takimi słowami, 14 października 2014 roku, rozpoczęła się uroczystość Pasowania Pierwszoklasistów, której bohaterami były wszystkie dzieci z pierwszej klasy Szkoły Podstawowej w Giebułtowie.

W tej uroczystości uczestniczył Burmistrz Miasta i Gminy Mirsk pan Andrzej Jasiński, licznie przybyli rodzice, nauczyciele i uczniowie.

Dzieci deklamowały wiersze, śpiewały piosenki, a także zatańczyły z parasolkami przy piosence „*Lubię, kiedy deszcz*”.

Pierwszym testem pokonywania szkolnych supełków było wypicie soku z cytryny z uśmiechem, a także pytania przygotowane przez uczniów klasy drugiej.

Ważnym momentem było pasowanie, którego dokonała pani Dyrektor Jolanta Skrocka magicznym piórem. Upominki wręczone przez pana Burmistrza oraz słodki poczęstunek przygotowany przez rodziców zakończyły tę uroczystość.

Danuta Sudół
nauczyciel SP w Giebułtowie

Sudety Giebułtów kończą rundę jesienną

Tomasz „Dzidek" Cierpicki odbiera gratulacje po zdobyciu najpiękniejszej bramki całego meczu w Platerówce, bo u Dzidka główka pracuje :)

Waldemar „Feti" Jadczak - zdobywca drugiej bramki dla Sudetów w Platerówce.

Od ukazania się ostatniego numeru Gazety Giebułtowskiej nasze Sudety rozegrały pozostałe mecze rundy jesiennej jeleniogórskiej A-klasy oraz jeden mecz z rundy wiosennej z drużyną z Platerówki. Padł tam remis 2:2 mimo licznych sytuacji giebułtowskich piłkarzy.

„Sudety" Giebułtów po rozegraniu czternastu meczów zajmują 10 miejsce z czterema wygranymi, dwoma remisami i ośmioma porażkami. Zdobyliśmy 14 punktów z bilansem bramek 35 strzelonych i 49 straconych.

Runda wiosenna rusza pod koniec marca. Ale już teraz zachęcamy Was do wspierania naszych zawodników na wiosnę oraz do odwiedzania Fanpage „Sudety Fans" na Facebook-u, gdzie uzyskacie najświeższe informacje o nadchodzących wydarzeniach, wyniki odbytych spotkań wraz ze strzelcami bramek oraz obejrzysz zdjęcia naszych piłkarzy w żywiołowych sytuacjach boiskowych.

Serdecznie zapraszamy przed monitory i na stadiony.

Dawid Karoń

Kapitan Sudetów, Marcin „Ułan" Makowski (najbardziej bramkostrzelny zawodnik, 9 goli w rundzie) miał w Platerówce mniej szczęścia.

Łukasz „Fakenz" Piątkowski dwoił się i troił z lewej strony boiska. W pierwszej połowie meczu najbardziej widoczny zawodnik na boisku.

Malarstwo Ryszarda Skórki

W dniach od 3 do 27 listopada 2014 r. nasza miejscowa biblioteka została przekształcona w galerię malarską. Swoje obrazy zaprezentował mieszkaniec giebułtowskich bloków - **Ryszard Skórka**.

Mogliśmy oglądać osiem dzieł inspirowanych głównie pięknem Gór Izerskich i Pogórza Izerskiego. Malarza fascynuje architektura okolicznych wiosek i miejscowości, która przedstawiona jest z wielką dbałością o szczegóły. Realistyczne malarstwo pana Ryszarda Skórki jest dodatkowo wzbogacane opowieściami o historii naszych terenów. Kto spotkał artystę wie, że potrafi opowiadać ciekawie i barwnie. Każde z przedstawionych dzieł ma swoje źródło osadzone w dziejach naszej okolicy. Z pozoru nic nie znaczące szczegóły w ustach malarza ujawniają swoje prawdziwe znaczenie. Obrazy zaczynają żyć swoim życiem i wywołują niepowtarzalne wrażenia.

Obok prezentujemy trzy wybrane prace: uliczka w Proszowej, dom sierżanta Gałeckiego i Kapliczka Leopolda.

(pecet)